

Rozdział 5: Tam, gdzie najciemniej

Julmargo: Prawda Trojga

Mateusz Palczewski – www.julmargo.com

Dla większości ludzi dźwięk to po prostu drganie powietrza. Dla mnie, w tamtej sekundzie, dźwięk Julki był strukturą. Zobaczyłem go, zanim go usłyszałem. Widziałem, jak z jej krtani wydostaje się fala uderzeniowa o tak gęstej strukturze, że powietrze w wagonie zafalowało jak nad gorącym asfaltem w lipcu we Wrocławiu.

To był ten moment – musieliśmy zacząć działać. Julia otworzyła usta.

Gdy masz piętnaście lat, wydaje ci się, że widziałeś już wystarczająco dużo filmów i grałeś w wystarczająco dużo gier, by nic cię nie zdziwiło. Ale to było coś zupełnie nowego. Jakbym odkrywał nową warstwę rzeczywistości, ukrytą pod tą nudną, codzienną powłoką.

Dźwięk, który wydała moja siostra, nie był krzykiem. To był bio-akustyczny impuls, który poruszył każdą cząstkę mojego ciała. Poczułem, jak moje molekuły wchodzi w rezonans – to było dziwne, rozlewające się po żyłach ciepło i lekkość, która nie szeptała, a

wręcz krzyczała w mojej głowie: ruszaj! Patrzyłem na swoje ręce, na Gogo, na Julkę... ta energia wręcz z nas emanowała.

Agenci Eterna Corp tymczasem podnieśli broń. Widziałem ich palce na spustach, widziałem napięcie w ich mięśniach przedramion. I nagle... zastygli. Byli całkowitym przeciwieństwem nas. My tętniliśmy życiem, oni stali się martwymi punktami w kodzie świata. Pozbawieni jakiegokolwiek energii, jakby dźwięk Julki „wybił im bezpieczniki” w układzie nerwowym.

- Uciekamy! - krzyknąłem - to ostatni moment!

Nie czekaliśmy. Gogo, wciąż lśniący tą swoją matową, kamienną poświatą, chwycił Julkę pod ramię, bo widziałem, że jej „emisja” kosztowała ją więcej, niż przypuszczała. Rzuciliśmy się w stronę lasu okalającego tory. Moje nogi pracowały same, analizowałem każdy korzeń, każdy kamień pod stopami jako przeszkodę o określonej masie i wektorze.

Gdy tylko dopadliśmy do pierwszych gęstych świerków, odwróciliśmy się, by ocenić sytuację. Serce waliło mi w skroniach jak młot pneumatyczny. Agenci nadal stali przy wagonie. Nie poruszali się, wyglądali jak manekiny porzucone na środku planu filmowego. Ale w moim widzeniu strukturalnym coś się zmieniało. Czerwone punkty ich pancerzy zaczynały znów pulsować.

W tym samym momencie zauważyłem, że Julia robi się niebezpiecznie blada. Jej oddech był płytki, a dłonie drżały tak mocno, że nie mogła utrzymać pionu. Widziałem to - jej oddziaływanie na agentów topniało. Aura, którą ich spętała, rwała

się niczym stara sieć rybacka.

Wiedziałem, że teraz kolej na mnie. Jako ten „mądry”, ten, który widzi więcej, musiałem podjąć decyzję, od której zależało wszystko. W dłoni wciąż zaciskałem czarną kostkę od taty. Była zimna, gładka, zupełnie nieprzenikniona... do teraz.

Gdy zawiesiłem na niej wzrok - zadrżała. To nie było zwykłe drżenie. To była wibracja o częstotliwości tak wysokiej, że aż zaboląły mnie zęby. Na jednym z idealnie czarnych boków zaczął wykwitać ciąg białych znaków. Przesuwał się szybko, chaotycznie. W pierwszej sekundzie widziałem tylko szum, ale potem mój mózg zaczął to filtrować. To był kod binarny, czyste zera i jedynki, które na moich oczach mapowały się na znaki, a te z kolei układały się w zdania.

„W CISZY WAS NIE WIDZĄ. W DOMU JESTEŚCIE BEZPIECZNI.”

Co to mogło znaczyć? Rozsądek podpowiadał mi, że nasz dom na Nadodrze jest już tylko wspomnieniem i kupą gruzu. Ale kostka nie kłamała, czułem to. Pojawiło się kolejne hasło, tym razem pulsowało czerwienią:

„WIDZĄ TYLKO ANOMALIE. JEST I DRUGI DOM.”

Zrozumiałem to w ułamku sekundy. Eterna Corp nie szukała trzech dzieciaków o imionach Ignacy, Marcel i Julia. Oni szukali odczytów. Nasze moce były dla nich jak flary odpalone w całkowitej

ciemności. Agenci reagowali na anomalie, ale staliśmy się dla nich przezroczyści, gdy tylko wracaliśmy do bycia „cichymi”, zwykłymi ludźmi.

- Julka, Gogo - biegniemy! Szybko, za mną! - krzyknąłem do nich, wskazując kierunek przeciwny do tego, którego by się spodziewali. Pobiegliśmy z powrotem w stronę... torów, ale kilkaset metrów dalej, tam gdzie stał peron lokalnej stacji.

Agenci przy naszym towarowym wagonie wciąż odzyskiwali przytomność, poruszając się jak sfilmowani w zwolnionym tempie. My tymczasem, zziębnięci i przemoczeni, przeszliśmy na drugą stronę torowiska. Właśnie wjeżdżał tam pociąg osobowy - stary, pocziwy skład, który jechał w drugą stronę. W stronę Wrocławia.

Wślizgnęliśmy się do środka tuż przed zamknięciem drzwi. Wagon był niemal pusty.

- Słuchajcie, natychmiast musicie przestać! - wyszeptałem, siadając ciężko - weźcie głęboki wdech. Julka, przestań myśleć o dźwiękach. Gogo, rozluźnij mięśnie, nie bądź czołgiem. Musimy wyciszyć emocje... musimy znów być... normalni.

- Dlaczego? - sapnął Gogo, ocierając brudną twarz.

- Bo oni śledzą nasz ślad. Wyczuli nas wyraźniej, gdy używaliście mocy i gdy ja „odczytywałem” kostkę. Jesteśmy jak świecące punkty na mapie. Ale te punkty znikają, gdy jesteśmy zwyczajni, gdy nie walczymy. Jeszcze nie wiem, jak znaleźli nas na Nadodrze,

ale to teraz nieważne. Musimy wracać do domu... na Widawę.

- Na Widawę? - Julka uniosła brwi. - Do babci Tereski? Przecież Eterna tam sprawdzi najpierw!

- Właśnie że nie - uśmiechnąłem się blado, czując, jak dane w mojej głowie układają się w logiczną całość - oni myślą schematycznie. Szukają nas w Alpach, w bezpiecznych domach sieci Kolektywu, o których pewnie wiedzą. Nie spodziewają się, że wrócimy prosto do gniazda, do miejsca, które nie figuruje w żadnych oficjalnych bazach Triady. „Drugi dom”, Julka. Tak było napisane.

Usiedliśmy głęboko w fotelach pustego przedziału. Złapałem rodzeństwo za ręce. Moje dłonie były zimne, Gogo miał dłonie twarde jak sęki dębu, a Julka - delikatne i wciąż lekko wibrujące.

- Spokojnie. Wracamy - dodałem cicho.

Ten pociąg był naszą jedyną szansą. Jako uczniowie z legitymacjami w kieszeniach (które Julka przezornie zgarnęła z szafki przy wyjściu) nie rzucaliśmy się w oczy. Pociąg ruszył z cichym szarpnięciem. Przez brudne okno zauważyłem na peronie ruszających się powoli agentów. Wyglądali na kompletnie zdezorientowanych. Kręcili się w kółko, sprawdzając swoje tablety, które najwyraźniej przestały pokazywać cokolwiek poza szumem tła.

- Mam dość - szepnął nagle Gogo. To nie był głos „żywego kinetyka”. To był głos dwunastolatka, który stracił wszystko w jedną noc. Przytulił się do Julii, chowając twarz w jej mokrym

płaszczu. – Gdzie są rodzice? Co się z nami dzieje? Dlaczego my? Nikt z nas nie znał odpowiedzi. Przez chwilę w przedziale słyszeć było tylko miarowy stukot kół o szyny – tak-tak, tak-tak. Byliśmy blisko siebie, otuleni zapachem starego pociągu i mokrej odzieży. W tej dziwnej, wymuszonej normalności, poczuliśmy się bezpieczniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich godzin. Zasnęliśmy z wycieńczenia, gdy pociąg mijał pogrążone w mroku wioski na granicy.

Trzy godziny później, gdy świt zaczął malować niebo na szaro, dojechaliśmy do Wrocławia. Nie wysiedliśmy na Głównym – to byłoby samobójstwo. Wybrałem małą stację: Wrocław Osobowice. Wysiedliśmy w gęstą, poranną mgłę, która unosiła się nad polami. Pachniało mułem z Odry i dymem z domowych kominów.

– Słuchajcie – powiedziałem, wyciągając kostkę, która teraz milczała, znów będąc tylko czarnym sześcianem. – Musimy dostać się na Widawę, do domu babci na Sułowskiej. Jeszcze nie wiem, co tam znajdziemy, ale tak brzmiała wiadomość. Musimy iść wzdłuż wałów, żeby nie rzucać się w oczy.

Ruszyliśmy gęsiego koroną wału przeciwpowodziowego wzdłuż rzeki Widawy. Ścieżka była pusta, tylko gdzieś w oddali słyszeć było szum budzącego się miasta. Szliśmy tam, gdzie było najciemniej – w stronę naszej przeszłości, która miała stać się naszą jedyną kryjówką.

Julmargo: Prawda Trojga – Rozdział 5

Mateusz Palczewski – www.julmargo.com